

Rudolf Weigl – człowiek, który karmił wszy

10 października 2018

Opracował szczepionkę przeciw tyfusowi plamistemu. W trakcie okupacji ocalił tysiące ludzkich istnień. Choć był Niemcem z pochodzenia, za ojczyznę wybrał Polskę. Nie otrzymał Nobla, choć w samym międzywojniu dostał 70 nominacji do nagrody. O Rudolfie Weiglu, postaci niezwyklej, ale też nieco zapomnianej, rozmawialiśmy z Mariuszem Urbankiem, autorem książki „Profesor Weigl i karmiciele wszy”.

– Ma Pan na swoim koncie wiele biografii, m.in. Juliana Tuwima czy przedstawicieli słynnej Lwowskiej Szkoły Matematycznej. Dlaczego tym razem zdecydował się Pan napisać akurat o Rudolfie Weiglu?

– Dobór bohaterów moich książek wynika zawsze z chęci poznania bliżej kogoś, kto nie tylko zrobił coś ważnego, nie tylko był wybitnym twórcą lub uczonym, ale stawał w życiu przed decyzjami dramatycznymi. Kiedy musiał wybierać między dobrem i złem w sytuacji, gdy wybór dobra wiązał się ze śmiertelnym zagrożeniem. Rudolf Weigl wszystkie te warunki spełnił. Wielki uczony, który pokonał tyfus plamisty, opracowując pierwszą skuteczną szczepionkę przeciwko tej chorobie, kilka razy otarł się o nagrodę Nobla, w czasie wojny balansował między życiem i śmiercią, a poza tym był bardzo barwnym człowiekiem. Czegóż chcieć więcej?

– Jak to się stało, że pochodzący z niemieckojęzycznej rodziny zamieszkałej na Morawach Weigl został Polakiem? Największy wpływ na to miał jego ojczym, ale przecież język polski jeszcze dość długo nie był jego „pierwszym”...

– W żyłach Rudolfa Weigla nie było polskiej krwi. Jego przodkowie przyjechali na początku XIX wieku gdzieś z pogranicza Austrii i Niemiec na Morawy i tam utworzyli

warsztat, a potem mieli fabrykę montującą samochody, karety i bicykle. Po śmierci ojca Rudolfa – chłopiec miał wtedy cztery lata – matka wyszła za Polaka, nauczyciela gimnazjalnego Józefa Trojnara. I tak zaczęła się polska historia pogromcy tyfusu plamistego. Polskiego zaczął uczyć się mając około siedmiu lat, jego koledzy z gimnazjum wspominali, że miewał na początku spore kłopoty z językiem. Ale dorosły Rudolf Weigl nie miał już w ogóle obcego akcentu.

– Jakie cechy pomogły mu odnieść późniejsze naukowe sukcesy? Kogo wskazałby Pan jako osobę, która najmocniej wpłynęła na naukowy rozwój młodego Rudolfa?

– Oprócz niezbędnej pracowitości, której Weiglowi nigdy nie brakowało, zwykle o sukcesie, i to w każdej dziedzinie, decyduje pasja, przekonanie, że robi się coś ważnego, nowego, przełomowego. Weigl rozpoczynał studia w czasie, gdy żywa była legenda tzw. łowców mikrobów, takich jak Ludwik Pasteur, Robert Koch czy Paul Ehrlich, którzy znajdowali sposób na choroby, z którymi ludzkość wcześniej sobie nie radziła. Tyfus plamisty był taką właśnie chorobą, w XIX wieku zmarło na tyfus kilkaset tysięcy ludzi, w czasie i po wielkiej wojnie, którą później nazwano pierwszą światową, kilka milionów. To było wyzwanie. A mentorem i mistrzem Weigla był prof. Józef Nusbaum-Hilarowicz, promotor jego pracy doktorskiej i szef katedry na Uniwersytecie Lwowskim. Był uczniem wielkiego Benedykta Dybowskiego, zesłańca na Sybir po powstaniu styczniowym i badacza fauny Bajkału. Myślę, że Weigl czuł się następcą obu. Z Nusbaumem, jak mówi się dziś, nadawali na tych samych falach, obaj byli fanatycznymi pracoholikami. Nusbaum wymagał od swoich podwładnych pracy siedem dni w tygodniu, a kiedy wreszcie dał im jedną wolną niedzielę, to i tak nie wytrzymał. Wieczorem poszedł – tłumacząc, że to tylko na chwilę – do swojej pracowni. Zastał tam przy mikroskopie... Weigla.

– Metody badań Weigla związane z wszami były niezwykle innowacyjne. Kim byli tytułowi „karmiciele wszy” – kto takim

karmicielem zostawał, z jakich pobudek? Nie jest to przecież najprzyjemniejsze zajęcie.

– Żeby wyprodukować szczepionkę przeciwko tyfusowi plamistemu, potrzebne były zakażone wszy. W czasie wojen czy epidemii było o nie łatwiej, ale do masowej produkcji konieczna była hodowla laboratoryjna. Problemem było bowiem to, że wszy przenosiły zarazki tyfusu z człowieka na człowieka, natomiast nie zakażały się między sobą. Weigl opracował metodę sztucznego zarażania wszy tyfusem, zanim jednak choroba się rozwinęła, ktoś musiał je karmić, czyli pozwolić insektom pić swoją krew. Na początku robili to zaszczepieni oczywiście wcześniej pracownicy Instytutu, ale w miarę rozwoju produkcji szczepionki potrzeba ich było coraz więcej i zatrudniano karmicieli, którym za to płacono. W czasie okupacji niemieckiej i największej produkcji jednocześnie wszy karmiło około półtora tysiąca ludzi.

– Badania Weigla i wynalezienie szczepionki przeciwko tyfusowi, co oczywiste, już w międzywojniu przyniosły mu sławę. Patrząc na przytaczane przez Pana anegdoty, można chyba powiedzieć, że biolog ową sławę bardzo lubił. Czy można by rzec, że nawet do pewnego stopnia się nią „bawił”?

– Był człowiekiem bardzo dowcipnym, to nie ulega wątpliwości i dziś już nie wiadomo na pewno, które z anegdot prezentujących go jako roztargnionego profesora nieco już starej daty, w dodatku karmiącego własną krwią wszy, były prawdziwe, a które wymyślał sam Weigl. Na przykład o tym, jak przyjechawszy na konferencję naukową do Warszawy zapomniał, w którym mieszka hotelu i potem obdzwaniał kolejne recepcje wypytując, czy przypadkiem nie zatrzymał się tam Rudolf Weigl ze Lwowa. Oczywiście cieszył się sławą, ale nie dlatego, że przynosiła zaszczyty. Odebrać order i tytuł szambelana papieskiego od papieża pojechał dopiero po paru latach, bo wcześniej szkoda było mu czasu. Ale czasem dostawał nagrody pieniężne i to już było ważne, bo pieniądze przeznaczał na badania. Nauka wtedy też była kiepsko finansowana.

– Jakim człowiekiem był prywatnie? Na pewno był osobą o wielu pozanaukowych pasjach...

– Prywatnie był bardzo pedantyczny, co nie całkiem dobrze znosiła rodzina, zwłaszcza kiedy domagał się odpowiedniego pocierania zapałką o draskę pudełka, żeby nie zmarnować ani jednej. A oprócz biologii, która pochłaniała mu najwięcej czasu, polował, łowił ryby, sam nawet przyrządzał sztuczne muchy do połowu pstrągów, fotografował, gotował i robił nalewki, no i uprawiał łucznictwo. W ogrodzie botanicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza miał tarczę i wymykał się tam z pracowni, by postrzelać z łuku.

– Nadchodzi II wojna światowa. Jak zmienia się życie naukowca, jak wygląda jego praca w kleszczach dwóch totalitaryzmów?

– Lwów był okupowany najpierw przez Rosjan, a od 1941 roku przez Niemców. Jednym i drugim Weigl był potrzebny, bo w czasie wojen, którym towarzyszą wielkie migracje ludności, głód i nędza, tyfus rozprzestrzenia się błyskawicznie. A Weigl opracował metodę produkcji jedynej skutecznej szczepionki przeciwko tyfusowi; próbowano innych metod, ale nie były tak efektywne. Dlatego najpierw władze sowieckie chciały przenieść Instytut Weigla do Kijowa, a potem taki sam zamiar mieli Niemcy kusząc go przeprowadzką do Berlina. W 1941 roku Fritz Katzmann, generał SS, zaproponował nawet Weiglowi podpisanie reichlisty, czyli potwierdzenie, że jest Niemcem, dzięki czemu mógłby korzystać z tych samych przywilejów, co okupanci. Jednym i drugim odmówił, mimo, że Katzmann kusił nawet obietnicą poparcia dla jego kandydatury do Nobla. Wtedy właśnie Weigl wygłosił słynne słowa: „Ojczyznę wybiera się tylko raz. Ja wybrałem w 1918 roku”. Przyjął ofertę rozbudowy Instytutu i zwiększenia produkcji, bo na tym zależało im najbardziej. Ale tej propozycji odmówić nie mógł, bo wtedy przestałby być im potrzebny i nie mógłby prowadzić z Niemcami gry, którą podjął.

– Jak wiele ryzykował Rudolf Weigl odmawiając podpisania

reichlisty?

– Ryzykował życiem. Kilka tygodni wcześniej Niemcy rozstrzelali na Wzgórzach Wuleckich grupę kilkudziesięciu lwowskich uczonych i członków ich rodzin. Byli wśród nich rektorzy uniwersytetu, był Tadeusz Boy-Żeleński. Trzy tygodnie później zabili pięciokrotnego premiera rządu w II RP Kazimierza Bartla. Weigl doskonale rozumiał, co mu grozi, gdy tylko przestanie być Niemcom potrzebny. Zaryzykował, bo wiedział, co jest stawką. Niemcy próbowali uniezależnić się od szczepionki Weigla, uruchomili we Lwowie Instytut Behringa, gdzie lek bezskutecznie próbowano wytwarzać inną metodą, ale ostatecznie okazało się, że uwięzienie czy wręcz zamordowanie Weigla mogłoby zostać uznane za sabotaż wobec niemieckiej armii. Musieli go tolerować.

– Praca dla Weigla w okresie II wojny światowej, czy to w roli karmiciela, czy innej, miała nowe znaczenie – pozwalała przetrwać. Ilu osobom i jak pomagał naukowiec?

– Ausweis Instytutu Weigla był w czasie okupacji polisą na życie, chronił przed wywózkami na roboty, pozwalał wyjść cało z łapanek na ulicach. Dlatego był dokumentem bardzo pożądanym przez członków podziemia. Weigl godząc się na zwiększenie produkcji, którą odbierali Niemcy, zagwarantował sobie prawo decydowania o tym, kogo przyjmuje do pracy. W efekcie w Instytucie karmili wszy żołnierza AK, konspiratorzy, działacze Polskiego Państwa Podziemnego, nawet Delegat Rządu Londyńskiego na Lwów. Oczywiście także wybitni uczeni z uniwersytetu i politechniki, wśród nich sam Stefan Banach i inni członkowie Lwowskiej Szkoły Matematycznej, a także młodzi ludzie, studenci. To też był świadomy wybór, bo przecież wojna kiedyś się skończy i Polska będzie potrzebowała najlepszych. Dlatego powinni przeżyć. A skoro nie można zatrudnić wszystkich, to trzeba wybierać. Stąd na liście karmicieli tak wiele wybitnych nazwisk młodych wówczas ludzi: poety Zbigniewa Herberta, dyrygenta Stanisława Skrowaczewskiego, geografa Rudolfa Jahna, aktora Andrzeja Szczepkowskiego. Lista

„weiglowców” to lista ludzi, którzy spłacali swój dług robiąc po wojnie coś ważnego.

– Po zakończeniu wojny nowa władza w Polsce sprawia profesorowi kolejne kłopoty, m.in. blokując jego noblowską kandydaturę – do tego mimo braku oficjalnego oskarżenia, przylega do niego poniekąd łatka kolaboranta. Jak Rudolf Weigl odnajduje się w nowej rzeczywistości?

– To się jedno z drugim łączyło. Weigl był przed wojną wielokrotnie nominowany do Nagrody Nobla. Po 1945 roku sprawa nagrody dla niego wróciła. Był już wtedy w Krakowie, gdzie młody doktor, który w czasie okupacji sam współpracował z Niemcami, zarzucił Weiglowi kolaborację. Bo z jego szczepionki korzystał Wehrmacht. Owszem, korzystał, ale bez tego Weigl nie mógłby prowadzić Instytutu. Uczonemu nigdy nie postawiono oficjalnie żadnych zarzutów, nie było aktu oskarżenia, komisji, która mogłaby wszystko wyjaśnić, była mordercza plotka, która rok po wojnie miała potworną siłę. I sprawa Nobla ucichła. Mówiło się, że to polski rząd wycofał jego kandydaturę. Nie ma procedury wycofania zgłoszonej już kandydatury do Nobla, ale na pewno można sobie wyobrazić, że tamta władza miała dość instrumentów, by skłonić do milczenia tych, którzy ewentualnie chcieliby taką kandydaturę zgłosić.

– Weigl był wielokrotnie nominowany do Nagrody Nobla. Kiedy było mu najbliższe do tego wyróżnienia? Dlaczego ostatecznie ani razu się nie udało, mimo oczywistych sukcesów?

– Przed wojną miał 70 nominacji, czyli tylu uczonych rekomendowało uhonorowanie Rudolfa Weigla nagrodą Nobla. W latach 1930-1939 tylko raz, w 1935, nominacji nie otrzymał. Ale miał pecha, bo w 1928 roku Nobla dostał Charles Nicolle, uczony francuski, który dowiódł, że tyfus roznosi zwykła wesz odzieżowa. Stworzenie szczepionki było czymś zupełnie innym, myślę, że ważniejszym, mówił o tym nawet sam prof. Nicolle, ale dość łatwo było argumentować, że nie można dawać nagrody dwa razy za to samo, nawet jeśli nie jest to prawdą. Niemcy,

którzy w czasie wojny mieli zapewne dość argumentów, żeby „przekonać” neutralną formalnie Szwecję do uhonorowania Weigla, po jego odmowie zrezygnowali. Co innego starać się o Nobla dla Niemca Weigla, a co innego dla Polaka, należącego do narodu „niższego”. Wtedy stracił szansę na Nobla, bo nie chciał być Niemcem tylko Polakiem, a po wojnie, bo ktoś uznał, że był nie dość dobrym Polakiem. Historia potrafi być bezwzględna i nie zważa nawet na to, że ta bezwzględność ociera się o absurd.

– Jak wyglądały prace nad Pańską książką? Czy dotarcie do jakichś konkretnych informacji, relacji konkretnych osób stanowiło problem?

– Niestety, kiedy przystępowałem do pracy zdecydowana większość współpracowników Weigla już nie żyła. Miał z nimi kontakt Ryszard Wójcik, który wykorzystał przeprowadzone kilkadziesiąt lat temu rozmowy w swojej książce „Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla”. To było już nie do nadrobienia. Na szczęście wielu z tych ludzi zostawiło swoje wspomnienia o pracy u Weigla i samym uczonym. Żyje też jeszcze kilku karmicieli, z częścią miałem kontakt. I żyje 97-letni dziś prof. Wacław Szybalski, światowej sławy biochemik, profesor na Uniwersytecie Wisconsin w Madison, który był w Instytucie Weigla kierownikiem hodowli wszy i też karmicielem. Miał wówczas 21-22 lata. Długa rozmowa z nimi jest ważną częścią mojej książki, podobnie jak rozmowa z wnuczką uczonego, Krystyną Weigl-Albert. Reszta była zwykłą pracą biografą, przedzieraniem się przez dziesiątki relacji i wspomnień, czytanie listów, składaniem bardzo drobnych czasem informacji w całościowy obraz. Pisanie biografii jest trochę jak budowanie domu. Trzeba zadbać o różne drobiazgi i szczegóły, żeby się nie zawalił. Biograf musi dotrzeć i ustalić rozmaite fakty – na pewno nie wszystkie, to raczej niemożliwe – żeby portret opisywanego człowieka był pełny, a także uczciwy wobec niego i wobec czytelników. A tego nie da się zrobić bez pełnej wiedzy.

– Jak Pan ocenia obecną świadomość społeczną dotyczącą postaci Rudolfa Weigla? Czy postać profesora została należycie uhonorowana względem jego osiągnięć i życiorysu?

– Rudolf Weigl to po genialnych matematykach z Lwowskiej Szkoły Matematycznej kolejna postać, z której powinniśmy być dumni, a nie jesteśmy, bo ciągle za mało o nim wiadomo. W PRL o Weiglu się nie mówiło, bo przypominając uczonego trzeba byłoby jednocześnie przypominać o polskości Lwowa, a to przecież według ówczesnej propagandy było miasto „odwiecznie” ukraińskie, a właściwie rosyjskie. Dopiero w nowej Polsce o Weiglu znów zaczęto mówić, odbyło się kilka sesji naukowych, pojawiły publikacje. Ale, podobnie jak w przypadku matematyka Stefana Banacha, aż prosi się o film. Scena, w której Weigl odmawia generałowi SS podpisania reichlisty, to przecież scena hollywoodzka...

Z Mariuszem Urbankiem rozmawiał Paweł Czechowicz

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

Nota biograficzna

Mariusz Urbanek (ur. 1960) – pisarz i publicysta, absolwent studiów prawniczych na Uniwersytecie Wrocławskim. W przeszłości pracujący m.in. we „Wprost” i „Polityce”, obecnie związany z miesięcznikiem „Odra”. Kierownik Gabinetu Świadków Historii w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich. Autor kilkudziesięciu książek, w tym licznych biografii.